ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 41

WARSZAWA
DNIA 12 PAŹDZIERNIKA 1913 R.

Z TWÓRCZOŚCI AUBREY BEARDSLEY'A.



Walka elegantów z modnisiami.



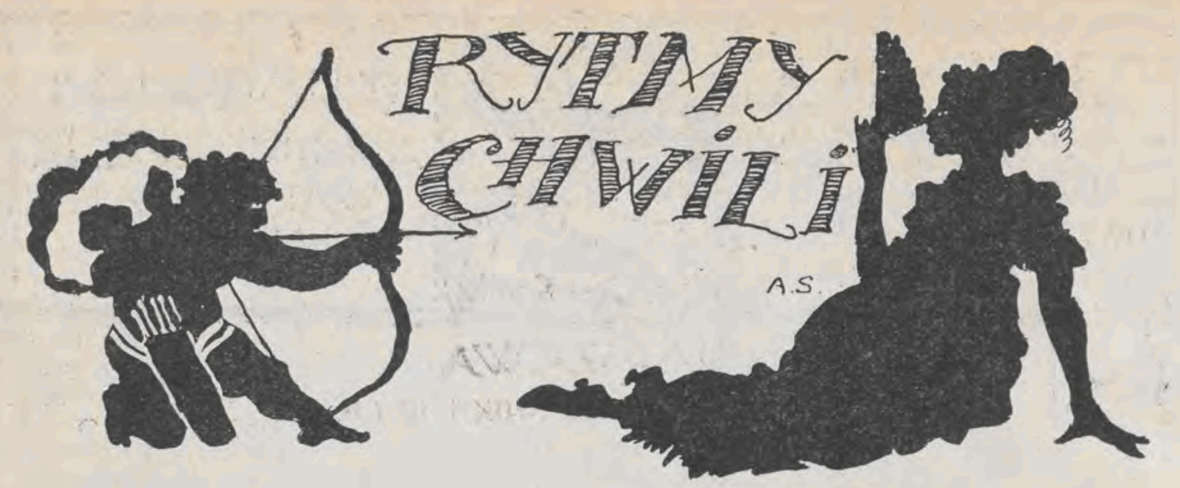
Modlitwa Barona.



Lady Złoto ze świtą.



Toaleta.



Wieść o głodzie w Galicji, niby kamień rzucony na spokojną powierzchnię stawu, poruszyła martwą taflę naszej inicjatywy społecznej. P. Antoni Lange wystąpił z sympatycznym projektem jednodniówki literackiej, której sprzedaż mogłaby zapewnić głodnym kilkadziesiąt tysięcy rubli. Hr. Sobański czynem dowiódł, że obce jest jego naturze sobkostwo, rzuciwszy wspaniałomyślnym giestem 30,000 rb. Należy się za to hojnemu ofiarodawcy cześć i uznanie!

Wreszcie Henryk Sienkiewicz w liście otwartym do dzienników warszawskich, proponuje zorganizowanie komitetu, któryby się zajął zalegalizowaniem akcji zaradczej i niesieniem pomocy doraźnej, jednoczącej wszystkie sfery społeczne. Głosy zacietrzewienia i waśni międzywyznaniowej w sprawie pomocy w potrzebie rodakom pochodzące ze źródeł nacjonalistycznych, zostały odparte przez opinję ludzi dobrze myślących. *(y)*

Rocznica Horodła będącego niejako aktem przedwstępnym do Unji Lubelskiej r. 1569 wypadła w czasie szczególnego rozognienia sporu polsko-litewskiego. Niestety! Horodło było jedynie dziełem panów.

Dzień, w którym lud litewski z polskim zawrze podobne przymierze nie rychło jeszcze zaświta... *(y)*

Było ich trzech. Jak w bajce. Mieszkali w dużem mieście, gdzie codzień popełniano jakąś zbrodnię, lub ohydę. Tych trzech chłopców ze współczesnej bajki, żywiło cudowny, wzniosły kult czystości, który odbijał od nędzy moralnej dużego, grzesznego miasta. Aż raz, pod wpływem ciążenia serc, zeszli się razem.

Postanowili:

1⁰. Ulepszać życie;

2⁰. Wzajemnie się popierać i kształcić.

3⁰. Dążyć do pracy;

4⁰. Wstrzymywać się od szkodliwych przyjemności.

I jeszcze, jeszcze...

W tym celu utworzyli stowarzyszenie pod nazwą: „Trójjedność“.

A teraz kończy się bajka i rozpoczyna nudna rzeczywistość.

Byli względem siebie hojni! I w kasie figurowały następujące pozycje: „koledze Kowalskiemu rb. 250, na kształcenie charakteru“, albo „koledze Wojnowskiemu rb. 100 na urzeczywistnienie marzeń“.

Aby zrealizować te pozycje, trzeba było sięgnąć do członkowskich wkładów.

Wkłady... Nie, nie mam odwagi... Rumienię się za ciebie, duże, grzeszne miasto. Wkłady wynosiły całych kop. 20.

Teraz znów zaczyna się bajka.

Oddano ich pod sąd za nielegalne zorganizowanie stowarzyszenia. A może wyczuto w nich groźny tryumwirat?

Śledztwo sądowe wykazało, że owe setki wkładów — były fikcją!

W takiem dużem, grzesznem mieście strasznie trudno jest być idealistą. *(a)*

Sprawa o testament Hamburgerowej, z której „Goniec“ za wszelką cenę chce zrobić *cause célèbre*, co zresztą nie bardzo mu się udaje, nastręczyła powód do pierwszego wystąpienia J. Eks. Arcybiskupa przeciwko: „złej prasie.“ W orędziu, skierowanem do adwokata przysięgłego Bełzy, J. Eks. doradził p. Bełzie w imię miłości chrześcijańskiej sprawę o oszczerstwo w prasie umorzyć. P. Bełza poszedł za radą Arcybiskupa i sprawę cofnął. Oskarżeni zaprotestowali przeciwko takiemu ukręceniu łba sprawie.

Trudno osądzić narazie po czyjej stronie jest słuszność, jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości, że niewyjaśnione sytuacje, zwłaszcza w sprawach związanych z dobrami materjalnemi, bardziej narażają na szwank miłość chrześcijańską pomiędzy ludźmi, niż najsurowsze wyroki sądowe. *(y)*

Debiuty mają dobre strony. Bo pomyśleć tylko... Teatr Mały wyprzedany do ostatniemiejsca w... poniedziałek.

Przyznać trzeba pannie Moreli (jaki cudny, pomologiczny pseudonim) dużo wdzięku, dużo szy-

ku, dużo ładnych sukien, wreszcie talent, ale wszystko to gaśnie wobec genjalnych pomysłów dyr. Zalewskiego, który daje debiuty paniom, mającym na mieście dużo znajomości. W tem miejscu moje *złote pióro* zaczyna skrzypieć... Była to już nietylko „Asekuracja wierności", ale zarazem asekuracja kasy Teatru Małego pod każdym względem. *(k. w.)*

Dlaczego t. z. publiczność ufa znawstwu i gustowi recenzentów? Ci ostatni posiadają mniej wykształcenia i wyczucia od owej publiczności, którą chcą pouczać. Kwestja ta przypomina mi inną ze zgoła innej dziedziny. Mam na myśli apaszów i agentów policyjnych. Apasz śmielej napada na przechodnia, niż na agenta policyjnego, o ile ów ostatni ma jakąkolwiek oznakę swej godności. Czy przyczyną strachu jest — uzbrojenie agenta??

Bynajmniej! Apasz, który nie lęka się broni w ręku zwykłego mieszkańca Paryża, uchodzi częstokroć przed wspomnianym *urzędnikiem*. Przyczyna tkwi w symbolu władzy, w powadze samego urzędu, w nałogowem zżyciu się z ową myślą, iż dany urząd posiada taką a taką potęgę... Apasz właściwie czci symbole, uchodzi przed symbolami... Recenzent posiada — urząd. Znawstwo jest tylko jego symbolem... Publiczność pod wpływem niezwalczonego nałogu czci w danym razie—symbole i ulega potędze symbolicznej. Stąd jej zaufanie do znawstwa recenzentów. *(w.n.).*

W ostatnich czasach dziennikarze i duchowo podupadli literaci, pisząc o poezji, jednomyślnie i jednozgodnie zarzucają tym lub owym poetom brak woli. Okazuje się, iż *wola* jest źródłem twórczości, i wspomniani augurowie pilnie przestrzegają jej oznak i przejawów w każdym utworze poetyckim. Trudno, mówiąc nawiasem, dogodzić ich wygórowanym żądaniom i bezwzględnie surowym zapotrzebowaniom *siły woli.* Skwapliwość tych zapotrzebowań budzi pewne podejrzenia... Wiadomo bowiem skądinąd, iż ci zapaleni miłośnicy *woli* posiadają genialną niemal zastosowawczość do wymagań chwili, wiewiórczą przerzutność i figlarność przekonań, służalczą zdolność pochlebiania osobom, od których są zależni, — lubieżną i żarliwą żądzę dogadzania gustom *najszerszej*, a urojonej przez nich samych publiczności... I oni to właśnie lubią mówić o *woli*, jak chory lubi mówić o zdrowiu, lub ślepy o kolorach. Pamiętam, jak jeden z nich zachował się osobliwie, gdy wraz ze mną w sprawie teatralnej odwiedził pewnego *recenzenta teatralnego...* Ma się rozumieć, czuł się *zależny*, nie wiedziałem jednak i nie przypuszczałem, iż poczucie zależności może się posunąć aż do takiege stopnia...

Siedzieliśmy w gabinecie wspomnianego recenzenta, którego twarz przybrała właśnie uprzejmy wyraz surowego, lecz uczynnego znawstwa. Mój towarzysz nie śmiał zająć swą osobą całego krzesła, jeno siedział na samym krańcu aby ową samochcąc przysporzoną sobie niedogodą zaznaczyć niższość swej rangi społecznej, czy też pomniejszość swej istoty duchowej.

Podczas rozmowy ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

— Kto tam? — spytał recenzent.

Towarzysz mój odruchowo zakrzątnął się na krańcu krzesła i, zanim zdołałem go wzrokiem powstrzymać, po lokajsku podbiegł do drzwi, aby je otworzyć. Nie wytrzymał... Musiał to uczynić...

Recenzent podziękował za tę czynność i dodał:

— Niepotrzebnie się pan fatygował.

Po wyjściu z gabinetu, zapytałem go, czemu się tak, a nie inaczej zachował?

Poczerwieniał, jak mi się wydawało, ze wstydu i, o ile pamiętam, nie odpowiedział nic wyraźnego. Wkrótce potem, pisząc recenzję o jednym z poetów, zarzucił mu brak *dumy indywidualnej i woli, skupiającej twórczość.*

Wówczas zrozumiałem, iż, zapytany ongi o swe zachowanie się wobec wspomnianego recenzenta, poczerwieniał nie tyle ze wstydu, ile ze złości... Fakt przytoczony należy do t. zw. drobnych faktów życiowych, charakteryzuje wszakże całą plejadę, owych miłośników woli, którzy tak pilnie przestrzegają w swych wymogach krytycznych — uczuć bohaterskich, *czynu i dumy*. Ba, nie tylko przestrzegają, lecz specjalizują się w tym kierunku do takiego stopnia, że w końcu na ich twarzach zjawia się stały i nieodczepny wyraz niezadowolenia z powodu braku woli i dumy w całem niemal społeczeństwie! *(wn).*



Autoportret Beardsley.

Aubrey Beardsley.

Wizjoner i fantasta, marzyciel i potrosze romantyk należał Beardsley do tego pokolenia malarskiego, które wraz z mistrzami swymi Manetem, Monetem i Renoirém — sprowadziło wielką rewolucję w sztuce, zapisaną w historji pod nazwą Impresjonizmu. Pomimo jednak, że lata twórczości Beardsley'a przypadają na okres największych tryumfów impresjonistów — Beardsley i jego sztuka zasadniczo odrębne zajmują stanowisko.

Niewiele jest takich artystów, którzy li tylko przez wzgląd na swą młodość i temperament narażeni na uległość nowym, fascynującym hasłom — oparli się tym nęcącym pokusom i pozostali wierni wskazaniom swej istotnej i najgłębszej jaźni duchowej, krocząc ku własnych odległym horyzontom.

Do takich artystów, stojących niejako na uboczu od ogólnej ewolucji sztuki, należeli Paweł Gauguin, kwiat dziwny i egzotyczny, Cézanne, dla którego impresjonizm posłużył tylko za punkt wyjścia, Wincenty Van Gogh — gorączkowo błądzący w labiryncie własnej duszy — i jeszcze kilku twórców mniej lub więcej znanych.

Do takich również należał Aubrey Beardsley, zamknięty w świecie własnej wizji, niby w stromej wieży morskiej latarni, o której granitowe podnóże rozbijały się na płask szare fale pospolitej codzienności.

W swej wieży zgromadził Beardsley moc niesłychaną rzeczy potwornie cudnych, bajecznie nieprawdopodobnych, filigranowo - wykwintnych. Straszydła cudaczne, o brzuchach wydatnych przystrojonych w girlandy z róż, markizy w pudrowanych perukach i koronkowych żabotach z twarzami o wyrazie do okrucieństwa zmysłowym, dziewice o niepomiernie wydłużonych kibiciach, niepokojących swem wyrafinowaniem, pierroci bladzi w czarnych maskach, akcesorja wykwintu, flakony, puszki do pudru, gotowalnie, świeczniki siedmioramienne, zwierciadła owalne, koronki, krynoliny — wszystko to, co kiedykolwiek żyło w bajce, legendzie, mycie, wyobraźni załamując się w duszy artysty, tworzyło ów wielki świat wizji, opromieniony subtelną poezją niedomówień, którego zazdrosnym strażnikiem był sam Beardsley.

Drzeworyt japoński, waza grecka, malarze francuzcy XVIII wieku, a więc Moreau, Fragonard, St. Aubin, oraz czarowny i tajemniczy przepych fantazji samego Beardsley'a — oto pierwiastki, z jakich się składa jego sztuka, niedostępna często dla ludzi umiejących dostrzegać piękno jedynie tam, gdzie ma ono pozory realnej rzeczywistości.

Gdybyśmy chcieli dalej doszukiwać się pokrewieństw duchowych łączących Beardsley'a z innymi ludźmi — to byśmy chyba musieli zagłębić się w posępnych fantasmagorjach Poe'go, zasmakować w iskrzącym się paradoksie Wilde'a, a może wówczas odnaleźlibyśmy nici łączące tych trojga, z których każdy wzięty osobno, był zbyt oryginalny, aby mógł być podobny do drugiego, a wszyscy razem byli zbyt wielkiemi artystami, aby się mogli na szczytach sztuki nie spotkać.

Dopełniają się oni wzajemnie doskonale. „Salome" Wilde'a nabiera niesłychanie przekonywującego tragizmu w interpretacji Beardsley'a — pomimo, że są one zasadniczo różne w pomyśleniu.

Pominąwszy nad wyraz skomplikowaną i bogatą duchową organizację Beardsley'a — musimy podkreślić wyraz, wykwint i trwałość form czysto-zewnętrznych jego sztuki, w jakich zawarł on całą swą istność, form często doskonałych a zawsze noszących piętno wybitnie indywidualne.

Beardsley komponuje swe rysunki jak nikt, i komponuje je nie w sensie literackiej anegdoty, która gra tu często rolę drugorzędną — lecz w sensie możliwie najbardziej logicznego rozłożenia płaszczyzn i linji. Nazwałbym Beardsle'a kochankiem linji. Włada nią on całkowicie, gnie ją niby powolną kochanką w ramionach w cudowne skręty, wikła w wężowe sploty, zwija, rozwija, skręca, szarpie niekiedy — czyni to jednak z miłością wielką i zrozumieniem, świadczącym wymownie o niesłychanem poczuciu jej kształtu i wartości. Linja Beardsley'a niema sobie równej — chyba, że u starych mistrzów japońskich znajdziemy podobną.

Aubrey Beardsley urodził się dn. 21-go sierpnia 1872 roku w Braigton, gdzie też początkowo do szkół uczęszczał. Od dzieciństwa zdradzał pociąg do muzyki i w marcu 1883 roku, gdy wraz z rodziną przybywa do Londynu — produkuje się tu ze swą siostrą na licznych koncertach, cieszących się wielkiem powodzeniem. W tym też czasie jednocześnie z objawieniem się zamiłowania do rysunku, zapada na suchoty. W rok potem porzuca zabójczy dla jego zdrowia Londyn i przenosi się znowu do Braigton. Tu spędza długie lata w borykaniu się rozpaczliwem ze straszną chorobą i wśród tych szamotań znajduje czas i energję na wykonanie swych pomysłów i fantazji rysunkowych. W roku 1898, mając zaledwie lat dwadzieścia pięć — umiera, pozostawiając po sobie, kilkaset rysunków robionych tuszem (*blanc et noir*) i zaledwie kilka kolorowych.

Przytoczonych na tem miejscu kilka reprodukcji, mogą dać zaledwie niejasne pojęcie o gienjalności tego wielkiego wizjonera, który jeden z niewielu umiał rzeczywistość przeistaczać w bajkę.

Xawery Glinka.



Okładka do katalogu.



Tytułowa kartka do pisma „The Savoy".



Reforma kostjumu baletowego.



WIERSZ O POECIE.



rys. A. Słonimski.

O pewnym młodzieniaszku
Wiersz się toczy cały,
Co szary miał cylinder,
I pisał madrygały.

— — — — — — — — — — —

„Codziennie przez Saint-Jacques,
Jeździsz luba księżniczko,
W oknie czarnej karety,
Codzień widzę twe liczko.

Kocham cię coraz bardziej,
O czem nie wiesz aść pani,
Coś nader serdecznego,
Pragnę złożyć ci w dani.

Lecz ja nic nie posiadam,
Mówiąc między nami,
Oprócz starych kamaszy,
I płaszcza z dziurami.

Cóż więc dam ci o luba,
Kiedy mam tak niewiele,
Chyba serce me w darze,
Złożyć ci się ośmielę.

Ot—gdy będziesz przejeżdżać,
Zwykle jeździsz w tej porze,
Ja się z piersią rozdartą,
Pod twój powóz położę.

Krwi mej najserdeczniejszej,
Strumień bryzgnie dokoła,
Rumaki się przestraszą,
Stój! — woźnica zawoła.

Kiedy drżąca otworzysz,
Karetowe wnet drzwiczki,
— Nie wychodź, powiem, pani!
Bo powalasz trzewiczki.

Nie wychodź, księżna pani,
Nieczyń se ambarasu,
Jeszcze powalasz o mą krew,
Trzewiczki twe z atłasu!.. —

— — — — — — — — — — —

Snując ten melodramat,
Wzruszonym był, ach! tak,
Żem wciąż potrącał, idąc,
Przechodniów na Saint-Jacques.

Podobno jechała wtedy,
Księżniczka w swej karecie,
W dani rzuciła kwiat,
Przechodzącemu poecie.

Poeta go nie dojrzał —
Oczy miał pełne łez,
Nie podniósł go, wpatrzony,
W ballady swojej kres.

Antoni Słonimski.

Rys. Aleksander Świdwiński.



DZIECI PROTESTU.

II.

Whitmanowi, jako jednemu z ciekawszych pionierów piśmiennictwa nowoczesnego, należy się słów parę charakterystyki. W jego chaotycznym, nerwowym sposobie pisania, niekiedy niejasnym, a zawsze oryginalnym a lapidarnym odzwierciadla się niespokojna, rogata dusza dziecka protestu z pochodzenia, nawyknień i upodobań.

Biografja Whitmana jest zespolona z jego twórczością nierozerwalną ścisłą siatką współprzenikania się i współzależności.

Syn Nowego Świata, wychowany w atmosferze gorączki wielkoprzemysłowej, błyskawicznego powstawania nowych wartości i szalonej gonitwy za użyciem, odczuwa głębiej niż kto inny zgrozę dnia dzisiejszego. Nowy Świat Whitmana nie jest li zmorą przelotną, kaprysem świateł dziwaczną grą cieni, jest w pierwszym rzędzie owocem doświadczeń bolesnych, przeżyć osobistych, poszukiwań księgi nowego zakonu na „krętych ścieżkach" jawy życiowej. Człowiek ten, będący synem ubogiego farmera, widział życie z wielu stron; przeszedł przez wszystkie możliwe w Ameryce fachy; był zecerem, kancelistą, murarzem, robotnikiem kilku fabryk, pisarzem; zwiedził najohydniejsze spelunki, więzienia, przytułki nocne, knajpy, w których folgował swemu nałogowemu pijaństwu; przechodził pieszo stepy i prerje, wędrownik niestrudzony, łaknący przestrzeni i zmiany środowiska, z większą jeszcze namiętnością, niż podniecenia gorzałką. Brud ślepego wirowiska miast wywołał w duszy Whitmana reakcję podwójną: nienawiść zapamiętałą do konwenansu, podwójnej moralności, okrutnej niesprawiedliwości życia względem słabszych i pokrzywdzonych, a z drugiej strony wiarę w potęgę ludzkości wyzwolonej, odradzającej się nieustannie w ludzie.

„Łodygi trawne", zbiór filozoficzno-moralno-społecznych poezji Whitmana, zwrócił uwagę publiczności amerykańskiej swoją niezwykłą formą, wyzwoloną z rymów i rytmów; wpadającą tu i owdzie w prostactwo, gburowatą; wprowadzającą do literatury pięknej terminy techniczne, nazwy maszyn i t. d. Zainteresowanie czytelników ochłonęło bardzo szybko, gdyż nie bardzo rozumieli oni treść: *„Łodyg trawnych"*, zaś wysiłek myślowy przy czytaniu książki literackiej zdaniem amerykańskiego — i nie amerykańskiego—czytelnika jest najzupełniej zbędny. Dopiero po paru dziesiątkach lat przyszła nowa powrotna fala zainteresowania Whitmanem. Przeciwklasyczny i zarazem przeciwromantyczny protest demokratycznego poety zaciekawił koła literackie znudzone monotonią form uświęconych. Rozbieżność Whitmana-poszukiwacza z klasycyzmem jest widoczna. Za usamowolnieniem się zaś z pod jarzma tradycji romantycznych przemawia raczej wyrozumowana koncepcja poety niż natura jego, której wybujałości wiążą go *par consequence* z szeregiem poetów epoki romantycznej. Niechęć do czułostkowości, kwilenia słowiczego, przesłodzenia poezji rozkoszami seksualizmu, jeszcze niczego nie dowodzi...

Wzbraniając się zresztą przeciw nalepianiu jakiejbądź etykietki klasyfikacyjnej na duchowości tak bujnej, jak Whitmana, piszący te słowa pragnąłby zwrócić uwagę swoich czytelników na tego pisarza zgoła nieznanego w Polsce.

Zaznajomienie się z nim popchnęłoby nasze sfery literackie trochę w kierunku większego zbliżenia do rzeczywistości, opuszczenia owej wieżyczki z kości słoniowej, która za azylum czystego artyzmu nieco szkolarsko poczytywaną być zwykła.

Modernizm nasz z przed lat dziesięciu przyniósł z Zachodu hasło wolności w państwie twórczego ducha i natychmiast pogrążył je w niewoli oderwanego, czczego formalizmu.

Przeestetyzowaliśmy i zmarnowaliśmy swe ideały, ku którym rozwój życia społecznego nie zbliżył nas nawet o krok jeden.

Indywidualności podobne do Whitmana, w których umiłowanie ludu i demokracji łączy się organicznie z idealizmem o zakroju anarchistycznym oraz poszukiwaniem piękna nizin w łodygach są zapowiedziami nowych syntez artystycznych, tem bardziej pożądanych, że zgodnych z rytmami rozwoju samego życia.

Z łodyg bo wyrastają kwiaty żywe, gdy papierowe kontentują się z musu drutem, lub drewienkiem patyka.

Jerzy Jankowski.



Rysował A. Świdwiński.

KAWIARNIA.

Światło spływa jasną, złotą strugą po marmurowej toni stolików, rozczepia się w tęczowania stubarwne przez szklane wisiorki, ze spowicia krasnych bibułowych maków rozlewa się łuną pożaru, gorącym blaskiem zduszonej, wściekłej namiętności. Drażni i kołysze, zespala się w jedno z aksamitną melodją walca, z zapachem perfum z przytłumionym gwarem rozmów.

Szare, sztucznie rozszerzone oczy powoli, powoli nabierają życia. Te biedne, umęczone oczy kobiet żyjących w wielkomiejskiej gorączce, o stępionej wrażliwości na świat zewnętrzny, oczy bezustannie judzone orgją rzeczy sztucznie niezwykłych, gdy czarne żądła zegarowych wskazówek stulą się w północnej godzinie — oczy te *nazewnątrz patrzące*, zawsze i nigdy inaczej, rozigrają się niesfornie, aby chwytać pożądliwe spojrzenia tych innych źrenic, będących własnością oblicza męskiego...

Drobne, perłowe ząbki wpijają się w żółte ciałko kremowego ciasta. Przez długą słomkę ciągnie się mazagran, który potem sprowadza bezsenność. Młoda dziewczyna. Od kilku zaledwie dni zabierają ją rodzice do kawiarni. Oh, jak piękne jest życie! Przechodzi tylu znajomych. Wydaje się, że fruną przez powietrze, pełne muzyki, że uświęca ich nastrój wielkomiejskiej kawiarni. Są tu piękniejsi, niż na ulicy. Są wspólnikami jej grzechu. Albowiem kawiarnia wyobraża grzech. Tak, z pewnością. W nocy długo leży z otwartemi oczami i myśli...

Zresztą ojciec i matka, starszy brat i wszystkie kuzynki chodzą oddawna do kawiarni. I dlatego kawiarnia jest grzechem zbiorowym. Słodkim, fascynującym grzechem.

Dawniej, kiedy wieczorami siedziała w domu i czytała powieści, kawiarnia wydawała jej się czemś niedoścignionem, wrotami, za któremi kryło się szczęście, zamkniętemi dla niej wrotami. A teraz.

Ona nigdy nie widziała zbliska wielkich ludzi. Ale dzisiaj matka trąca ją w łokieć i szybko mówi:

— Widzisz — to idzie poeta Z... Widzisz — to idzie aktor X...

Poeta Z., który napisał tę śliczną książkę, którą tyle razy odczytywała. W tej samej kawiarni. Tylu, tylu wielkich ludzi...

Muzyka zaczyna szaleć. Stoliki tańczą, panowie i panie, lampy elektryczne, mazagran i poeta Z... — wszystko to poczyna wirować. Podchodzi wuj Karol. Pod oczami ma sine kręgi i pomarszczone fałdy.

— Chciałabym być wielką artystką, — mówi ona i nozdrza jej rozszerzają się namiętnie.

— Wuju, opowiedz mi coś o tem, jak się żyje za kulisami. Ty przecież tak dobrze znasz to życie.

Wuj przeciera twarz i ziewa. Ukazuje przytem czarne od dymu tytuniowego, zęby.

— Proszę cię, nie zadawaj mi nudnych pytań. Lepiej powiedz coś o sobie.

Zagląda jej w oczy. Jakgdyby nurzał się w niewinnej młodości tych ócz. Jagdyby zrzucał z siebie palącą obręcz nocnych orgji, usta-

wicznego podniecania się śród miejskich murów, w brudnym odmęcie miasta. Jakgdyby nagle w kawiarni ujrzał wiosenną łąkę.

A „wiosenna łąka" tak bardzo pragnęłaby spalić się w płomieniu używania!

* * *

Możnaby mniemać, że cała Europa stała się jedną wielką kawiarnią. Po wierzchu kapitalistycznego błota unosi się lekka pianka szubienicznej wesołości, beznadziejne rozkoszowanie się zdobyczami kultury. Rynek oświetlony elektrycznością, zastawiony zwierciadłami! Wejdź młody tryumfatorze mieszczaństwa! Obejrzą cię ze wszystkich stron i oszacują. Jesteś w wielkim, demokratycznym salonie, przyszedłeś na five o'clock do tłumu. Połowa mieszkańców Paryża przewija się codziennie przez kawiarnie! Tłum lubi również gawędzić i podziwiać się. Przez tyle wieków skazany był na kołowanie w kręgu ciasnych obowiązków. Przez tyle wieków gwałcono w nim towarzyskość, chęć błyszczenia i imponowania.

I tłum zniwelował arystokratyczne salony do poziomu kawiarni. Każdy ma taką samą ilość praw. Każdy może się ogrzać przy wielkiem ognisku rozpanoszonego mieszczaństwa, o ile ma na zapłacenie wypitej kawy, lub zjedzonej kolacji.

Ach! jeszcze to jedno. Konieczne są pieniądze. Okrągły pieniądz wynosi z błota i przychyla do ust kufel z piwem. Za szał się płaci. Dawniej trzeba było być dobrze urodzonym, aby módz wykwintnie używać. Dziś za pieniądze wszyscy mogą korzystać z podrabianego wykwintu.

Kawiarnia...

Czy jest tragikomicznym uśmiechem wielkiego Miasta? Czy wskrzesza życie publiczne, niby rynek ateński? Czy dźwięczy tryumfem zwycięskiej kultury, równającej pod jeden strychulec tych, co garną się do wspólnego obcowania, smagani głodem wrażeń pobudliwej *inteligencji — tego jedynego ich herbu?*

A może jest sarabandą zapomnienia, maską kryjącą trędowate oblicze, wielkim karawanserajem pijanej i znudzonej tłuszczy?..

Oszklona weranda posyła w noc złoty uśmiech. I zimne światło elektrycznych lampek — nawołuje.

Jakób Appenszlak.



Rysował A. Świdwinski.

„WRAŻENIA I STUDJA".



O Żeromskim i Wyspiańskim dużo już u nas pisano. Mamy krytyki, studja, impresje. Do tej ostatniej kategorji przybyły obecnie prace W. Makowskiego, zawarte w ostatniej jego książce p. t. „Wrażenia i studja". Po ukazaniu się „Dziejów Grzechu„ zawrzało. Posypały się pełne oburzenia i potępienia krytyki i sprawozdania, wśród których głuchły głosy tych, co chcieli otworzyć ludziom oczy na poezję i piękno tej książki, na ból i smutek z niej płynący, którego źródłem nie są dzieje Ewy, a świat cały, i życie, i ludzie wszyscy. O smutku i krzywdzie życia, o tragedji ludzi słabych, o nędzy ich losu, o całej rozpaczy i beznadziejności, które zioną na was z kart „Dziejów Grzechu" mówi Makowski. Mówi o tem jak na użyźnionej kałem, krwią i krzywdą ziemi rosną kwiaty... i bywają skruszone". Ale mówi też o tem, że z niedoli tej i nędzy jest wyjście, trzeba tylko złamać niemoc swoją, obudzić siłę „a zwyciężymy życie i szczęście samo przyjdzie do naszych stóp". Mówi o tem, jak z ponurego obrazu „Dziejów Grzechu" wyrasta witeziowa postać zwycięzcy, człowieka wielkiego, wolnego, silnego.

Źle było Żeromskiemu wśród nędzy i miernoty dnia powszedniego — źle, smutno i ciasno. Więc zadumał się o orle — mogilniku sławy polskiej piastunie, wielkim hetmanie — zadumał o wolnej, kresu nie znającej duszy polskiej. — I powstała „Duma o hetmanie". Głęboko napisał o niej Makowski. Właściwie nie o niej napisał ale o tem, co ten sen o przeszłości w duszy jego obudził napisał o własnej swej do tej przeszłości tęsknocie i o tem jak mu się marzą „jeszcze więksi niezłomniejsi, bardziej mocarni bohaterowie niż tamci, tacy którzyby złym głosom nocy posłuchu nie dawali, nie zachwiali się w drodze ni razu, umieli nie tylko chcieć, ale i budować ową Polskę nową... na fundamentach takich w którychby krzywdy nie było".

Studjum Makowskiego o Wyspiańskim jest, jak sam je nazwał, szukaniem drogowskazu. I szuka go on poprzez cały „straszliwy zamęt krzywd i zbrodni, nieszczęść i mąk, tęsknoty i żalów bezsilnych, czynów ślepych. Szuka go, bo jest Wyspiański „życia wielkiego, pełnego i potężnego życia poetą", bo wierzy, że zejdzie Salwator co będzie „świecił i spalał razem, kres klęsce i kłamstwom położy". Wierzy w to i Makowski i kończy silnym okrzykiem „Wstań życie!"

Na jednym tylko punkcie nie mogę się zgodzić z Makowskim. Nazywa on Wyspiańskiego pisarzem tendencyjnym, bo „nie mógł nie umiał i nie chciał zapatrzyć cię w samo tylko piękno zapomnieć o niedolach człowieka", bo w każdem jego słowie „kryje się krew skrzepła", bo nie jest „stojącym ponad przemijającą chwilą nadludzkim, bezczasowym twórcą piękności, a jest człowiekiem z całą poplątaną gęstwą ludzkich uczuć, krzywd, marzeń i żądz". Wszystko to jednak nie czyni go jeszcze tendencyjnym. Tendencja to sztuczne naginanie życia i faktów do zgóry ustalonych zasad i postulatów, to nieświadome lub umyślne fałszowanie prawdy dla dowiedzenia i przeprowadzenia a priori postawionej tezy. Jeśli już koniecznie wyżej wspomniane cechy twórczości Wyspiańskiego od pojęcia czystego artyzmu odróżniać trzeba, — można raczej powiedzieć, że był Wyspiański pisarzem ideowym, nigdy jednak tendencyjnym.

Tak w dziełach jak i w życiu naszych wielkich romantyków tkwi pierwiastek tragiczny, który najsilniej przemówił w poezji Krasińskiego, u niego bowiem oprócz motywów ogólnych złożył się na to szereg innych jeszcze czysto osobistej natury. I tym właśnie tragizmem zajął się Makowski („Tragizm Krasińskiego"). Daje nam więc charakterystykę światopoglądu Krasińskiego, przytacza czynniki, które się na tragizm jego wiary złożyły, wreszcie daje rzut oka na powstanie i rozwój pomysłów, które się urzeczywistniły w „Nieboskiej komedji" i „Irydjonie".

„Rok 1905 w literaturze polskiej" jest wyjaśnieniem i odpowiedzią na zagadnienie „czy i jaki zachodził stosunek między życiową burzą 1903 roku i literaturą". Odpowiedź ta sama konsekwentnie wypływa z tego co autor w studjum tem powiedział i przytoczył. Ponieważ literatura i życie mają wspólne podłoże — psychikę ludzką, więc związek między nimi był i jest. Różnica zaś, która między nimi istniała, zachodziła nie w ich istocie i charakterze lecz w czasie.

Literatura poszła naprzód i wcześniej powiedziała swoje słowo, życie szło o kilka kroków za nią. Ale literatura doszedłszy do pewnego punktu stanęła, zepchnięta brutalnie przez życie, które uczyniwszy skok wydarło się naprzód. Literatura pozostała niżej. Napięcie siły twórczej stało się większe w życiu niż w literaturze wbrew temu co było poprzednio".Na zagadnienie jak się w najbliższej przyszłości ten stosunek życia i sztuki ułoży autor nie daje odpowiedzi, ma jednak nadzieję, że pieśń jutra będzie „pełna kwiatów i złotego słonecznego blasku".

Ostatnią i najobszerniejszą pracą w „Wrażeniach i studjach" jest studjum „Dwójbóżcy".

Z czasów współczesnych lub niedawno minionych przenosi nas autor do wieku XVI, z dziedziny wrażeń literackich i artystycznych w wir walk i polemik religijnych. To też charakter i nastrój tego studjum różni się zasadniczo od innych prac w tejże książce zawartych. Nie mamy tu tej bezpośredniości, tej silnie zaznaczającej się indywidualności samego autora, ale mamy gruntowną i ścisłą pracę badacza. Ponieważ materjał dotyczący tematu „Dwójbożców" ubogi jest i mglisty, przeto do wyciągania swoich wniosków przystępuje Makowski z wielką ostrożnością, dając jednak doskonałą syntezę całego kierunku jak też i teorji jego przywódców.

Gruntowna znajomość traktowanego przedmiotu, głębokie odczucie i intuicja artystyczna w ujmowaniu i reagowaniu na dzieła sztuki, piękna forma łącząca w sobie poezję z nadzwyczajną prostotą i jasnością — oto główne cechy ogólne „Wrażeń i studjów", dzięki którym są one książką piękną i ciekawą.

J. W.



Teatr Rozmaitości. — „The Doctor's Dilemma" B. Shaw'a.

Nie mogę zrozumieć, pomimo wszystko, dlaczego tak wielkim kryminałem ze strony dyrekcji teatru Rozmaitości jest wystawienie powtórne doskonałej sztuki Shaw'a: „Dylemat doktora"?

Wychodząc z założenia jednego z najszczerszych krytyków warszawskich, p. Wł. Rabskiego i konsekwentnie założenie to rozwinąwszy, przyszlibyśmy do przekonania, że „Hamleta" grać nie należy, gdyż go akurat rok temu grano w Koziej Wólce.

Porównanie to jeszcze nie dowód, zwłaszcza, iż co Shaw, to nie Shakespeare, aczkolwiek pierwszy ma zasłużony zaszczyt być rodakiem drugiego.

Niemniej *dobra* sztuka zasługuje na sześciokrotne nawet wznowienie, jeśli tylko ze względów materjalnych jest to możliwe. A zresztą cóż nas obchodzą względy materjalne?

Powie p. Rabski. Obowiązkiem dyrekcji jest pokazać jaknajwięcej utworów na to zasługujących. Pięknie. Jestto jednak subjektywne rozumowanie krytyka.

Bo publiczność ta zmienna, krociowa publiczność warszawska w znacznej swojej części jeszcze tych sztuk nie widziała, które krytyk już dawno przeżuł i strawił.

*

P. Dubedat, malarz - artysta, jest zdolnym uczniem Shaw'a i ma w sztuce przedstawicielstwo na artystyczno - amoralną energję, czerpaną ze zbiorników Piękna.

Jest jak nowy „Samson", walczący z filistynami, którzy tym razem trudnią się medycyną, rzecz bowiem dzieje się w środowisku lekarskiem. Nowy Samson (p. Osterwa) kocha Sztukę żarliwie, wierzy w jej nieśmiertelne posłannictwo całą mocą ducha. Duch potężny — ciało słabe.

Dubedat nie bacząc na troski swojej nieślubnej żony (p. Pawińska), która go ubóstwia, coraz bardziej zapada na piersi...

W obozie filistynów przewodzi doktór Ridgeon (p. Wojdałowicz?) filistyn z krwi i kości, ale filistyn mądry, i czujący talent i piękno. Poznał się na talencie Dubedata i na pięknie jego żony... Dr. Ridgeon mógłby ocalić malarza. Ale w jakim celu? Chyba po to, aby pozostały po nim piękne obrazy. Lecz czyż uczciwy i pożyteczny (Brydziński nie ma pierwszeństwa przed utalentowanym łajdakiem. Wyobraźmy sobie — stawia alternatywę Shaw, że dr. Ridgeon rozporządza jednem tylko łóżkiem, którego ma ocalić z tych dwuch? Skazany został malarz. Doktór jednak nie dopiął swego. Bo żona Dubedata wyszła zamąż za innego.

Opowiedziana fabuła sztuki Shaw'a, bodaj opowiedziana sumienniej niż to uczyniłem—nie daje o jego kunszcie najmniejszego pojęcia. Wartość Shaw'a tkwi w czem innem. Nie w charakterach, bo są dowolne, nie w prawdzie obserwacji, bo Shaw paczy ją rozmyślnie, lecz w sposobie patrzenia autora na ludzi i rzeczy ludzkie. Mamy przed sobą pisarza, który patrzy na nie przez dziwną błękitnawą szybkę swego sceptycznego umysłu i zimnego bezkrwistego temperamentu. Shaw nie idealizuje ani gentlemana w osobie doktora Ridgeona, ani cygana Dubedata.

To, że jeden z nich zabije, człowieka a drugi pożyczy pieniądze i nie odda bynajmniej nie wzrusza ich duchowego ojca, który daną namiętność uważa za obojętny atrybut danej psychiki, dobry czy nie dobry, mądry czy nie mądry — istniejący.

Shaw buduje swoje sztuki doskonale, rozwija celowo z żywego materjału ludzkiego. Nie boli go głowa o to, że podany szemat jest niemożliwy w życiu, doskonale jest poinformowany, że sztuka ma swoją autonomję — autonomji tej broni ogniem paradoksu.

Kwestję wykonania Shaw'a na scenach Warszawskich poruszę przy najbliższej sposobności. Rodzona matka angielskiego pisarza nie poznałaby utworu swego syna, sądziłaby natomiast, że grają dramat p. Konczyńskiego, zaszczytnie odznaczonego *Oldermana*, sztuki scenicznej w Teatrach Rządowych. Nieliczne słowa, które przyleciały nad Wisłę z nad Tamizy, były wymawiane w djalekcie nadwiślańskim.

P. Wojdałowicz został obsadzony niewłaściwie, wyróżnili się p.p. Osterwa, Brydziński i p. Pawińska.

IJJ.



Femina

PROTEST KOBIET GRECKICH PRZECIW OKRUCIEŃSTWU BUŁGARÓW.

Na ręce pani Julji Siegfried, przewodniczącej Kongresu narodowego kobiet francuskich, nadeszła na pewien czas przed zawarciem pokoju wzruszająca odezwa kobiet greckich, zwracających się do wielkich stowarzyszeń międzynarodowych kobiecych z prośbą o pomoc w uzyskaniu interwencji władz, celem ukrócenia występków wojny bułgarskiej.

Mimo skończonej wojny, protest nie stracił znaczenia, ponieważ minister spraw zagranicznych we Francji, Pichon, podjął ankietę dla zbadania okrucieństw wojny bałkańskiej a i kongres pokojowy w Hadze wziął je również pod uwagę, aby wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski.

A oto treść odezwy:

„Wszystkie kobiety greckie, złączone w tej chwili jednem uczuciem oburzenia i grozy wobec kaźni, jakiej została poddana nieszczęsna ludność grecka Macedonji i Tracji przez hordy Bułgarów,—zgłaszają protest niniejszy do sióstr całego świata cywilizowanego.

W imię tysiąca kobiet, dzieci, księży, prałatów, notabli chrześcijańskich i muzułmańskich, zmarłych w męczarniach, wzywamy interwencji kobiet świata całego wobec rządów i głów kościoła, aby przyczyniły się do powstrzymania barbarzyństwa Bułgarów, dla którego brak nazwy.

Naród, którego wojsko atakuje zuchwale sojuszników swoich, braci wczorajszych; którego żołnierzom nie wystarcza krew przelana bo gwałcą dziewice, zgładzają dzieci w objęciach matek, mordują bezbronnych starców, księży, biskupów; naród taki jest dziki i niegodzien zaliczenia go w poczet ludów cywilizowanych.

W prowincjach, odzyskanych przez naszą armję zwycięzką, wszędzie, gdzie tylko przeszli żołnierze bułgarscy, mieszkańcy bez różnicy rasy i religji: Grecy czy też Muzułmanie podlegli najdzikszym, niesłychanym zniewagom.

Byłoby niepodobieństwem zliczyć wszystkie zbrodnie; ograniczymy się do przytoczenia kilku zaledwie. W Sabako, niedaleko Serrés, kobiety były zmuszone tańczyć nago z dzwonkami przy szyjach dokoła olbrzymich ognisk, utworzonych z płonących trupów mężów ich i dzieci, podczas gdy oddział wojska bułgarskiego klaskał z radości. W Serrés, w Doïran, w Demir-Hissar zamordowano dwuch arcybiskupów greckich i setki szlachty, poddano kobiety najstraszniejszym obelgom, zmasakrowano dzieci, spalono kościoły, tak że miasta całe przedstawiają dziś obraz najstraszniejszej ruiny.

Szał ich bez granic, nie uszanował nawet szczątków żołnierzy, zmarłych na polu walki. Powyrywano im oczy a ranni nasi podlegli tej samej kaźni, zadźgani na śmierć ostrzami bagnetów.

Wszystkie wsie greckie i tureckie na przestrzeni 150-iu kilometrów są już dziś tylko stosami dymiącego popiołu i zwapniałych szkieletów.

W rozprzężonej swej ucieczce przed wojskiem króla Konstantyna, żołnierze bułgarscy zostawiali za sobą wszędzie grozę i strach.

Attyla i Hunnowie nie przeszli ich w ogromie pokonanych zbrodni.

Kobiety świata cywilizowanego, przedstawicielki Rady Międzynarodowej i Międzynarodowego Związku Pokoju oraz innych Stowarzyszeń chrześcijańskich, jak również każda kobieta-matka proszone są o zgłoszenie protestu w imię ludzkości żądania:

1) Pośrednictwa wszystkich możnych tej ziemi celem położenia kresu tym potwornościom.

2) Wzgardy ludów chrześcijańskich dla narodu, który podeptał bezczelnie zasady świętej Ewangelji i miłości bliźniego".

Przyczem załączono podpisy, obejmujące 20,000 kobiet greckich z Aten i prowincji Grecji.

KRONIKA.

Jubileusz p. Ant. Bernatowiczowny.

W roku b. obchodziła dwudziestopięciolecie owocnej pracy na polu gospodarczym i wychowawczym p. A. Bernatowiczówna, jedna z pierwszych pionierek uprzemysłowienia gospodarstwa kobiecego na wsi. *Ferma* p. Bern. posiada już od lat kilkunastu zasłużony rozgłos, tak z powodu świetnie prowadzonej *szuszarni włoszczyzn*, jakoteż z wyborowych przetworów owocowych, konfitur, win jabłecznych, serów, wędlin, pierników, odznaczonych niejednokrotnie na wystawach w Wilnie i Petersburgu.

Poza wyżej wymienionymi działami, szkoła gospodarcza p. Bern. obejmuje jeszcze sad, pasiekę, hodowlę drobiu i trzody, dając w ten sposób szeroką praktykę gospodarczą miejscowym kobietom i dziewczętom wiejskim oraz zgłaszającym się z dalszych okolic inteligentnym praktykantkom.

Dla osób interesujących się bliżej ową sprawą podajemy adres: „*Ferma p. An. Bernatowicz*". Wilno, Plac Ś-to Jerski 3 — Czytelnia. (Adres prywatny dla korespondencji).

E. W.

Adwokatki francuskie.

Wobec poruszonej niedawno w Dumie i odrzuconej przez Radę Państwa ustawy, która dopuszczać miała kobiety do adwokatury, nasuwa się wspomnienie walki jak w swoim czasie stanęły kobiety francuskie o dostęp do trybuny obronnej.

Z krajów Europejskich bowiem Francja posiada najliczniejszy zastęp prawniczek.

W r. 1897 wniosła do Izby Sądowej paryskiej pierwsze podanie o przyjęcie do grom adwokatów, p. Chauvin, licencjatka praw paryzkiego uniwersytetu. Ludziom mającym dużo wolnego czasu polecić można przeczytanie odpowiedzi urzędowej Izby! O czemś podobnie długiem, nudnem i źle motywowanem trudno mieć pojęcie. Zdawaćby się mogło, że Izba zakwestionuje zdolności, kwalifikacje fachowe kobiet, ich przygotowanie naukowe, ect. Gdzież tam — Najbardziej „ważkim" argumentem przeciw adwokaturze kobiecej był jakiś paragraf prawa państwowego, który w pewnych wypadkach, na sto lat przewidzianych, pozwala adwokatowi przyjąć rolę sędziego — no a przecież Sędzia to jest kobieta w żaden sposób, (zdaniem paryzkiej Izby), być nie może!

Wytrwała p. Chauviin skierowała petycję swą do parlamentu, który w r. 1900 przyjął prawo o dopuszczeniu kobiet do adwokatury.

Tą samą drogą iść chciały prawniczki rosyjskie, ale konserwatyzm Rady państwa uniemożliwił projekt. Szczęśliwsze francuzki tworzą dziś pokaźną siłą w adwokaturze. Odznaczają się zwłaszcza znakomitem prowadzeniem spraw cywilnych i dużą w prawie cywilnem erudycją, biorą też udział w życiu społecznem i w agitacji feministycznej, jak p. Marja Vérone, która postawiła swą kandydaturę na burmistrza miasta Paryża. Na pociechę tak zwanej płci brzydkiej, dodać należy iż większość dames du barreon to osoby młode, umiejące nosić szykowne suknie, a na „adwokackich" głowach modne fryzury.

E. W.

Nowe odznaczenie pani Curie-Skłodowskiej.

Na kongresie uczonego stowarzyszenia „British Association" w Birminghamie, do którego należą największe powagi naukowego wszechświata, wręczono dypłom doktorski „*honoris causa*" rodaczce naszej Pani Curie-Skłodowskiej. Nigdy dotąd żaden uniwersytet nia udzielał podobnej godności kobiecie — pierwszy ten zaszczyt spotkał kobietę-polkę.

W chwili wręczenia honorowego dyplomu, prezes dziękując laureatce za zaszczycenie kongresu swą obecnością sławił zasługi jej niepożyte i rzadką wytrwałość, które doprowadziły ją do odkrycia nieuchwytnej dotąd substancji *radjum*, posiadającą zadziwiającą energję i przedstawiającą nadzwyczajną wagę w chemicznem zastosowaniu, niedostatecznie dziś jeszcze zrozumianą i wyzyskaną przez naukę.

Wiadomo iż pani Curie Skłodowska pozostaje nadal nadal na czele laboratorjum fizycznego w Sorbonie, jednocześnie zakłada w Warszawie, przy Tow. Naukowem pierwszą pracownią radjoktywną, którą zamierza przez parę zimowych miesięcy osobiście kierować.

E. W.

Poradnik gospodarczy.

Co robić w październiku.

W październiku zabiegła gosposia ma jeszcze dużo zajęcia. Urządzanie w butelkach szczawiu i pomidorów na zimę, suszenie śliwek gruszek i jabłek, marynowanie rydzów i korniszonów, przygotowanie konserw z gruszek i śliwek oraz powideł, które są najlepsze wtedy, gdy śliwki z dojrzałości pękają — konfitur z arbuza, melona, gruszek, śliwek, ananasu i berberysu, nalewek z gruszek, śliwek i jarzębiny oraz wybornego soku z berberysu.

W tej porze sprzedają pękami młody zielony koperek umyślnie siany przy końcu lata, aby z niego można było zrobić większy zapas na zimę. Zakonserwowanie jego mało wymaga zachodu a jest dobry i w wielu potrawach smak podnosi, gdy go się zawsze ma pod ręką. Rosół a nawet każda zupa na rosole ze śmietaną z dodaniem troszki koperku do wazy, lepiej smakuje i ładniej wygląda. Wszelkie nadzienia bez cukru do pieczystego z domieszką koperku przypominają nam smakiem młode kurczęta, których nadzienie suto koperkiem doprawione lepiej smakuje.

Marynowanie szabelbonu na zimę.

Na $3\frac{1}{2}$ kwarty pokrajanych w ukośną kostkę szabelbonów wziąć pół kwarty soli, wymieszać i tak na całą noc pozostawić. Nazajutrz z trochą liści od szabelbonów, nakładać je w czyste suche butelki, mocno zakorkować i wynieść do piwnicy. W ten sposób przechowany szabelon zatrzyma ładny zielony kolor i smak zupełnie świeżego groszku. Należy go tylko na parę godzin przed gotowaniem namoczyć w czystej wodzie, aby nie był za słony.

Przechowanie w puszkach szabelbonu.

Młode strączki szabelbonu oczyścić z bocznych włókienek, złożyć w osoloną wodę, a postawiwszy na kominie, ugotować je do połowy i osączyć. W tej samej wodzie gotować drugą partję. Gotowe strączki złożyć w puszki blaszane i zalać wodą w której się gotowały.

Woda nie powinna być mocno osolona. Puszki napełniać trzeba do $^{3}/_{1}$, potem zalutować i jeszcze na parze gotować, od zagotowania 20—30 minut.

UCZESANIE I KAPELUSZE

W całości naszego ubrania uczesanie i kapelusz odgrywają znamienną rolę. Uczesanie, jako najbliższe obramowanie twarzy, kapelusz jako bezpośrednie pokrycie uczesania. W bieżącym sezonie, będącym już miarodajnym i na zimę, uczesania uległy zmianie. W zasadzie, każda z pań powinna stosować uczesanie do typu swej urody, do rysów twarzy i wybierać takie upięcie włosów, w jakiem jej jest najładniej. Moda jednak i tu wywiera swoją wolę. Obecnie uczesania mają dwa zupełnie odrębne działy: *dzienny i wieczorny: Coiffure de jour, Coiffure du soir,* oczywiście dla osób posiadających ku temu odpowiednie tualety, bywających w teatrach, na koncertach, balach, zebraniach i t. d. Przy tualetach wieczorowych zmienia się i uczesanie. Upięcie włosów w dzień, do kostjumów krawieckich, do sukien wizytowych jest jaknajprostsze, wieczorem piętrzy się niepomiernie, wymagając stosownego przybrania, opa-





Modne kapelusze zimowe.



Modne uczesanie wieczorowe.



Modne uczesanie balowe.

sek, egret, świecideł i t. d... Nasze ryciny objaśniają tę metamorfozę. Jest to ostatnie słowo mody paryskiej — z działu uczesań.

W kapeluszach zachodzi zmiana mniejsza, ale jednak różnią się one od wiosennych i letnich nie tylko materjałami, co już jest konieczne, ale fasonem — kształtem. Charakterystyką ich jest bardzo silne nasunięcie całego kapelusza na głowę i czoło, zachodzące do samych brwi, z prawie całkowitem zasłonięciem włosów, to obramowanie twarzy wykonywanem bywa najczęściej z futra ciemnego i wtedy może być ładne, drugim rodzajem kapeluszy, są t. zwane *cappelines*, ze sporym rondem, lekko ku tyłowi wydłużonym, opasane piórami krótkiemi specjalnemi i ozdobione piękną egretą. Trzeci rodzaj tworzy rodzaj toczka, zachodzi głęboko na czoło, jest ładnie z materji lub aksamitu drapowany i ozdobiony niezmiernie ekscentryczną fantazją podwójną z piór czarnych. Są to bardzo zręczne okazy, objaśnione naszemi rycinami.

Jest jeszcze jeden dział kapeluszy bardzo strojnych t. zw. *du soir*, ale u nas małe ma zastosowanie, w teatrach bowiem i na koncertach, kapelusze zdejmujemy, na wszelkie rauty i zebrania również, są one zbyteczne, można je zastosować na bardzo eleganckie wizyty wyłącznie, lub udając się do wytwornej kawiarni — ale tych w Warszawie jest bardzo mało — a na prowincji niema ich wcale.

Bardzo praktyczne kapelusiki są t. zw. *borskie*, z pięknego, miękkiego filcu, dowolnie się układającego, ozdabiają je jakimś aksamitnym małym kwiatkiem, lub zwykłą opaską ze wstążki. Zaznaczyć muszę, że Moda *pozwala* i do takiego kapelusika przypiąć egretę lub paradyz za 200 rubli... *Marcèle.*

Odpowiedzi Redakcji.

Panu J. N. P. Farba do włosów zwana *Eau de Jouvence* nie nadaje się do brody krótko strzyżonej, jest specjalnie przeznaczoną na włosy długie — kobiece.

Marcèle

MARJAN ORLICZ.

13)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Żal ci? czego? pani, magnatka.

— Po wierzchu, ale wewnątrz, to jedna z najnieszczęśliwszych kobiet; kupił ją za swoją fabrykę koronek, a teraz pokutuje biedaczka, bo to w dodatku despota.

— To pocóż była na sprzedanie?

— Widać, mój drogi, że ciebie życie nie grzmotnęło jeszcze swoją twardą pięścią. Podług mnie niema „chcę" albo „nie chcę", ale jest jedno: „muszę". Nie mogła, widać, inaczej.

Żarski zawahał się chwilę.

— Powiedz mi Edek, co to jest za człowiek ten pan Lindner?

— Dla mnie to jeden z najniesympatyczniejszych typów: pyszałek, zarozumialec, groszorób, człowiek, mieszczący wszystkie przywary naszej rasy, a żadnej z jej dodatnich cech, bo przecież chyba nam ich nie odmówisz w zupełności.

— Ależ nigdy! Wogóle, wstrętne mi jest segregowanie ludzi nie podług ich wartości moralnej, ale z ubocznych względów. W każdym społeczeństwie są źli i dobrzy, wielcy i mali. Mnie, to wprost imponuje wasza stara kultura, wasza wybitna inteligencja, wasza prastara etyka, co to przed tysiącami lat nie dopuszczała kary śmierci, która dziś, w wieku postępu, nanowo podniosła głowę. W najniższych warstwach nie macie zabójców, a rzadko nałogowych pijaków.

Żarski przeżuwał jakąś myśl.

— Powiedz mi, Edek, a... ona... zna się na nim?

— I jak. To też dlatego nazwałem ją nieszczęśliwą. On i taka idealistka. Czyś ty nie zauważył, jak ona czasami rzuca się, jakgdyby na ratunek, kiedy on coś niewłaściwego powie, albo zrobi.

— A tożby cisnęła do licha.

— Dobryś ty. No i dokąd pójdzie? Rodzice nie żyją, rodziny blizkiej nie ma, pracować jej nie nauczono. Ta jedna z owych „Mart", którą uczono wszystkiego, a niczego nie douczono: i zagra, i zaśpiewa ładnie, i namaluje, i wyhaftuje, ale zastosować to wszystko praktycznie, nie starczyłoby na pierwsze śniadanie.

To klątwa dotychczasowe wychowanie naszych panien, ta hiszpańska „Olla potrida", w której wszystkiego jest po trosze, a razem wziąwszy niewiele co.

— Ależ on musiałby jej dać alimenta.

— Kto to powiedział? Dobrowolnie ten pan ją nie uwolni, a chociaż u nas rozwód łatwy, ale muszą się nań zgodzić obie strony, albo musi być jakiś ważny punkt. A tu niema żadnego: najlepszy mąż, niczego jej przy nim nie brak. A że gdzie strona, tam kochanka, to któż mu tego dowiedzie? Wreszcie czyż onaby się brukała po sądach?... Biedna, stokroć biedna.

Żarski smutnie pochylił głowę.

— Biedna, ale i on biedny.

Wszystkie zduszone cierpienia zaroiły się w mózgu, jak w mrowisku.

Szli obok siebie długą chwilę w milczeniu.

— Wiesz, Edek, mówił Żarski w dalszym ciągu swoich myśli, strach spojrzeć, ile się wkoło widzi nieszczęśliwych małżeństw.

— I będzie ich coraz więcej, odparł Fuchs, dopóki stosunek kobiety do mężczyzny i „vice versa" nie ulegnie radykalnej ewolucji. Wiesz, myślę nieraz, żeśmy tylko jakimś tragicznym „intermezzo" w pochodzie ludzkości. Przyjdą po nas inni. Inne kobiety i inni mężczyźni. Tacy, co się

nie zbliżą do kobiety z batem, jak pan do niewolnika, albo z fałszywemi słodyczami jak do głupiego dziecka, ale jak człowiek do człowieka z zaufaniem i zrozumieniem. A wtedy i kobieta nie stanie do licytacji „in plus“, ale świadoma siebie, ciało swe i duszę odda mężczyznie swojego wyboru. Jak dotąd—współżycie, to tylko szarpanina.

— O ile szarpanina, to zarówno dla mężczyzny, jak i dla kobiety.

— Wcale nie zarówno, bo największa część winy, jest ze strony mężczyzny. Dobrze powiedział Maeterlinck, ten znakomity znawca duszy ludzkiej „On ne choisit pas ses raisons, on les merite, comme des récompenses“. Wtedy, kiedy mężczyzna nie będzie miał etyki oddzielnej dla siebie, kiedy mu nie będzie wszystko wolno „bo mężczyzna“.

— Dużo jeszcze wody upłynie, mój kochany.

— To też ja nie powiadam, że to przyjdzie z dnia na dzień. Tego mężczyzny jeszcze niema. Ale jeśli nie doszedł już, to dojdzie do przekonania, że jego rządy nie dały ludzkości należnej sumy szczęścia. Że zależność kobiety, lekceważenie jej praw, zrobiły ją nietylko nieszczęśliwą, ale fałszywą i przewrotną.

Wszak to, rzecz stwierdzona, że niewola obniża duchową wartość człowieka.

Jakżeż mogła odpowiadać za swoje czyny ta, której busola życiowa skrzywiona u początku drogi, dawała kierunek wprost fałszywy.

A potem, cały ten jej spaczony, skrzywiony żywot, mści się nietylko na niej, jako na pojedyńczym osobniku, ale co gorsza, jako na wytwórczyni nowych pokoleń, nowych matek i nowych synów. I tak niema końca to błędne koło. Wtedy, kiedy kobieta nie będzie ani zabawką, ani niebezpieczeństwem, kiedy łzy, udawane — nie będą jej nieomylną bronią...

— Wybacz, ale doprowadzasz swoje wywody „ad absurdum“ To, co mówisz, zakrawa wprost na odwracanie wartości. Więc podług ciebie, kobieta we wszelkich kolizjach życiowych jest zupełnie bez winy.

— Bez winy może ona i nie jest, ale wiesz, co o tem mówi francuz: każdy błąd kobiety, jest występkiem mężczyzny, tak, że nawet jej wina, jej winą nie jest.

— „Contradictio in adjecto“ nawet jej wina jej winą nie jest. Wiesz, kobiety powinnyby takiemu żarliwemu apologecie wystawić pomnik za życia. Widocznie, mój drogi nie sparzyłeś się jeszcze na żadnej: nie kochałeś i nie doznałeś zawodu.

Smutne oczy Fuchsa pociemniały bardziej.

— Nie przesądzaj... Zresztą, zostawmy nasze „ja“ na uboczu. Uogólnijmy kwestję, mężczyznie zdaje się, że zna kobietę. Siebie samego nie znamy, a cóż dopiero organizację tak odrębną, tak różną od naszej. Czy wreszcie usiłujemy wniknąć w tę otchłań, jaką jest dusza kobieca? Czy pragniemy przerzucić przez nią most zobopólnego porozumienia? Bierze się po wierzchu ruchy, czyny, wyrazy, no, i z pewnością wielkiego argusa wyrokuje: historja, kaprys, nerwy, ale do jądra tych kaprysów, tych nerwów, tej histerji dotrzeć — fatyga za duża. Każdy „dobry mąż“ wie w jakim kolorze żonie do twarzy, w jakim fasonie kapelusza, ale jaki ma kształt jej dusza, która często po zamężciu dopiero na dobre się urabia — za tem śledzi chyba każdy tysiączny. „Et encore... kobieta i mężczyzna... „Tak jak obecnie — to wieczna naganka i wieczne pożądanie, wieczna miłość i... wieczna nienawiść. To jednym słowem dwa światy, które ciążąc ku sobie, jednocześnie się odpychają.

— Więc uważasz. że najlepiej iść przez życie w pojedynkę.

— Mój drogi, kto wie czy to nie jedno z pomniejszych zagadnień życia, nad któremi, my dzieci wieku rozłamujemy sobie głowy.

Jak nie pytać z Andrejewem: co to jest życie, kiedy śmierć spada tak dziwnie, tak niespodziewanie. Czy warto wierzyć jeśli uraza nie sprawia cudów. Czy warto być dobrym, kiedy żadnemi miljardami nie dadzą się zatkać wszystkie głodne gęby. Jak kochać ludzi, kiedy jednakże w każdym z nich budzi się zwierz. Gdzie znaleźć lekarza na wszystkie rany życia.

Spadł nagle rzęsisty deszcz i Żarski z Fuchsem musieli się rozłączyć.

— Dalszy ciąg w następnym numerze panie filozofie—powiedział Żarski, ściskając przyjacielowi rękę serdecznie.

IX.

Żarskiemu myśl, że to dziś pierwszy seans, nie dała zmrużyć oka.

Wstał z nerwami do niemożliwości skłóconymi. Coraz przelatywało mu przez przez głowę: będziesz ją miał tu, u siebie, a kat—rozum tuż, szeptał: „No i cóż ci z tego, szaleńcze? co z tego?

Dzień przedtem otrzymał od Lindnera list z zapowiedzią. Nawet się ten chłystek nie spytał, czy dzień ma wolny, czy godzina będzie odpowiednia.

„Przyjdziemy zaraz po południu“— pisał — „pokojówka przyniesie toalety i pan sam będzie łaskaw wybrać. Sądzę, że się pan zgodzi z moim gustem.“

„O! on wcale wiedzieć nie może, jak bardzo się zgadzam“—pomyślał.

Więc przyjdą oboje.

Tem lepiej.

Biedna Hela! Dałby wiele, żeby i jej i jemu zaoszczędzona była męka tych posiedzeń.

Jednakże, gdy zbliżało się południe, oczy jego coraz odruchowo biegły w stronę drzwi.

Kiedy powóz zatrzymał się przed bramą, lęk rozkoszny zakołatał mu w sercu.

Hela u niego!

Będzie ją miał tu, przed sobą...

Trwało długą chwilę; tak mu się zdawało przynajmniej, zanim Lindnerowie zapukali do drzwi.

Hela była biała, jak płótno, nawet wargi miała białe. Zaraz po przywitaniu opadła ciężko na fotel.

— Widział pan, jak to zbladło. Te kobiety, to prawdziwie do niczego, ale bo też pan mieszka pod samym niebem.

— Przecieżbyś nie chciał, żeby pracownia była na parterze—łagodziła.

— No, nie traćmy czasu. Ale jak pan zacznie malować takiego upiora?

— To też poczekamy, aż pani przyjdzie do siebie.

Prosiłbym tymczasem o te tualety, z których mam wybierać.

Lindner skinął na pokojówkę.

Wybrano jednomyślnie blado-różową gazową, srebrnym haftem inkrustowaną suknię.

Hela tymczasem zaczęła odzyskiwać tony żywego człowieka.

— Czy pani już będzie w stanie się przebrać?

— O tak, tylko gdzie tu można uskutecznić ten proces? — odparła z udaną swobodą.

Okrągłym gestem ręki, wskazał jej swój gabinet.

Wsunęła się wahająco, nieśmiało.

„Więc tu on żyje, pracuje, myśli...“

Chciwy wzrok zatrzymywał się na każdym drobiazgu. W każdym odnajdywała część jego samego.

Wytężony słuch łowił jakoby wibracje słów jego w powietrzu.

„Czy też czasem myśli o niej, czy pamięta wspólne troski i zabawy dziecięce.

Doszła do lustra poprawić włosy.

Kto wie może na tej martwej niby tafli, rysy jego się wryły i spoglądają na nią.

Zarzuciła prędko stanik na pierś odkrytą.

— Helu, co tak długo? niecierpliwił się Lindner.

Pokojówka żywo dopinała suknię.

Za chwilę w balowej tualecie, jakby zażenowana, stanęła przed Żarskim.

Na oczy mu padło olśnienie.

Zjawa!

— Dobrze będzie, prawda, panie artysto?—dął się Lindner.

Czy ma stać, czy siedzieć?

— Naturalnie, że siedzieć, zmęczyłaby się pani za bardzo.

Zajęła posłusznie krzesło na podjum.

Żarski kilka razy zmieniał pozę. Coraz mu się nie dość uwydatniał cały czar tej doskonale pięknej postaci. Kilka razy oddalał się, żeby się lepiej przypatrzeć, wreszcie ułożył fałdy sukni i rozpoczął portret.

(d. c. n.)

XAWERY GLINKA

2

Prawdziwa przygoda mojego ducha.

NOWELA.

Na jednym z wielkich placów dostrzegł mój Duch pomnik, którego z dawnych czasów nie pamiętał.

— To coś nowego—pomyślał i posunął się bliżej.

Na wielkim złomie marmuru, wznosiła się postać młodzieńca z jedną ręką na sercu a drugą wzniesioną w niebo. Postać była odlana z bronzu i raziła niesmacznie banalną pozą i ujęciem. U dołu, w marmurze wyryta była tablica, na której wielkimi złotemi literami widniał napis:

Wielkiemu Wieszczowi. Naród.

— Ach, to mnie wystawiono ten pomnik—pomyślał Duch mój—i z obrzydzeniem zwrócił się w inną stronę.

Dzień był cudny, wiosenny... Przenosząc się z miejsca na miejsce, Duch mój ani spostrzegł—jak się poczęło ściemniać. Gdzieś na wieży pobliskiej wybiła ósma. Nie wiedząc co z sobą ma zrobić, zwrócił się w stronę, gdzie była ongi owa modna kawiarnia, w której ostatnie swoje ciało opuścił. Postanowił bądź co bądź poczynić nowe znajomości, zważywszy na to, że znów miał zamiar wcielić się w jakowyś kształt realny i na czas jakiś stać się obywatelem Ziemi.

Kawiarnia prawie że się nie zmieniła w wyglądzie, nazywała się tylko obecnie „nie jak dawniej *modną*, a *najstarszą w mieście*".

Wsunąwszy się niepostrzeżenie między stoliki, począł się Duch mój po obecnych rozglądać. Wszystkie miejsca były zajęte.

— Tu mi należy ciało stosowne upatrzyć—pomyślał.

Opodal pod oknem, siedziało ciało, które odrazu zwróciło uwagę mego Ducha. Było to ciało dobre wypasione, z dość okrągłym brzuszkiem, o głowie małej z włosami zarastającymi nizkie czoło. Twarz miało rozlaną, o wielkich bez wyrazu oczach, które koniecznie usiłowały wydostać się z orbit. Tłuste, porośnięte rudawym zarostem ręce o palcach krótkich, szafelkowatych — były pokryte brylantowymi pierścionkami. Odziane ciało to było w najświeższej mody kostjum koloru lila w białe paski, w lakierowane pantofle z wielkiemi kokardami i w aksamitną tabaczkową kamizelkę z błyszczącymi guzikami, o które podźwiękiwała szczerozłota, przesadnie gruba dewizka. W klapie ubrania widniała czerwona wstążeczka legji honorowej. Po tych wszystkich oznakach poznać było nie trudno, że ciało to — było właścicielem wielkiej podmiejskiej rzeźni, było prócz tego członkiem Akademji Umiejętności, Rady miejskiej, Parlamentu i nie wiem już jakich instytucji.

Duch mój, pomny na wegietowanie w ciałach ludzi, których profesja była w założeniu wysoce poetyczna, niemniej przeto nie pozwalająca na regularne spożywanie obiadów — postanowił obecnie plunąć na tradycję, i o ile by to było możliwem spróbować szczęśliwego pożycia w wyżej opisanym ciele.

Dostać się jednak do ciała, w którem miał swe siedlisko Duch inny, obcy, zgoła nieznany memu duchowi — było dość trudne. Potrzebnym był tu jeden spryt i odrobina przebiegłości. Począł tedy Duch mój obmyślać przeróżne sposoby, za pomocą, których, mógłby się zawadzającego mu Ducha pozbyć.

W trakcie tych rozmyślań, pomienione ciało, wyjęło z bocznej kieszeni portmonetkę, zapłaciło należność — i wziąwszy z kąta laskę ze srebrnym monogramem — ruszyło ku wyjściu.

Duch mój pospieszył za niem.

Ciało wyszedłszy na ulicę, przystanęło na chwilę, spojrzało na pogodne niebo i przechylając się z boku na bok — posunęło wolnym krokiem przed siebie. Duch mój w pewnem oddaleniu pozostając, śledził bacznie kierunek drogi. Szli tak dość długo, jedną ulicą, potem skręcili na lewo, potem na prawo, jeszcze raz na prawo, wreszcie przed jedną z wielkich kamienic, ciało zatrzymało się, wyjęło z kieszeni klucz, otworzyło drzwi i zaczęło wdrapywać się na piętro. Duch mój wślizgnął się niewidzialny i tuż tuż za ciałem się unosił. Na pierwszem piętrze ciało przystanęło przed drzwiami, na których widniała złota tabliczka z napisem:

Franciszek Gruchalski.

Ciało, które jak się okazuje nosiło owe gołębie nazwisko, weszło tymczasem do

mieszkania, w nieodstępnem towarzystwie mego Ducha.

Mieszkanie składało się z kilkunastu pokoi, bogato lecz banalnie urządzonych. W jednym z saloników, na miękkiej kozetce spoczywała słodka niewiasta, żona Franciszka Gruchalskiego. Obok na stoliku leżało rozrzuconych parę kryminalnych romansów Conan-Doyla i tom poezji w lśniącej oprawie — jednego z większych wieszczów narodowych z przed lat trzech.

Franciszek Gruchalski zamieniwszy parę słów z żona przeszedł do swego gabinetu, gdzie oddał się sprawdzaniu ksiąg rachunkowych.

O dziewiątej podano kolację.

O jedenastej ciało Franciszka Gruchalskiego, po zrzuceniu z siebie skrojonego według ostatniej mody kostjumu lila w białe paski, lakierowanych pantofli i tabaczkowej kamizelki — wsunęło się w szerokie łoże, które z nim dzieliła połowica jego, właścicielka pary sprężystych ud, skrzypcowych bioder, wysokiego biustu i innych kilku dodatków naturalnych.

W chwilę potem, usłyszał Duch mój ciężkie chrapanie i kobiecych piersi głębokie westchnienie z czego wywnioskował, że małżeństwo to już jest dawno po ślubie; i że miodowe miesiące przeszły już u nich w rozkoszną legendę...

W tej samej prawie chwili wyłonił się duch Franciszka Gruchalskiego, i po promieniu księżycowym, który się wślizgnął przez okno do małżeńskiej sypialni—wzniósł się ów duch w krainy gwiazdne, co zwykł czynić zawsze w czasie uśpienia drugiej materjalnej połowy Franciszka Gruchalskiego.

Tymczasem, Duch mój, korzystając z chwili, wślizgnął się w pozostawione ciało, które nagle jakby tknięte elektrycznym prądem na łożu się uniosło.

— Nie śpisz — dał się słyszeć cicho kuszący szept dręczonej bezsennością połowicy.

Ciało, w które się wcielił Duch mój, po długiej abstynencji, czuły i skłonny do uniesień, w odpowiedzi na to wiele mówiące zapytanie — skłoniło się ku miękkim kształtom swej ślubnej małżonki, która przyjęła go z pewną dozą zdziwienia, w swe rozwarte, ciepłe, spragnione pieszczot ramiona...

* * *

Nazajutrz obudził się Franciszek Gruchalski około południa, rzeźki i pełen radości życia, prawie że zwierzącej. Przez odsłonięte zbytnio rolety wpadały słoneczne smugi, figlarnie igrając z jasnymi lokami małżonki, co z rozkosznie odrzuconą w tył głową, śniła słodko o niedawnych sprawach.

Nagłym stanowczym ruchem zerwał się Gruchalski z łóżka. W pięć minut był już ubrany. Po spożyciu czekającego już nań śniadania, przeniósł się do gabinetu i tu z ciekawością począł się wszystkiemu przyglądać. Stosy papierów, ksiąg, rachunków rozrzuconych bezładnie na wielkim biurku— wprawiły go w niemały kłopot, Nie miał pojęcia, co miały oznaczać długie szeregi cyfr, do kogo pozaczynane były listy w jakichś sprawach handlowych, na których zupełnie się nie znał. (d. n.)

H. DE BALZAC.

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Po raz pierwszy od lat pięciu pani Juljuszowa znalazła się w łóżku sama i musiała wpuścić doktora do swego sanktuarjum małżeńskiego. Jedno i drugie sprawiało jej poważną przykrość. Doktór Desplein uznał stan pani Klementyny za bardzo groźny. Wstrząśnienie moralne ze względu na stan, w którym się znajdowała, mógło mieć fatalne następstwa. Nie chciał wypowiedzieć się stanowczo i odłożył do następnego dnia stanowczą decyzję. Przepisał lekarstwo i zalecił spokój. Ale pani Klementyna nie zastosowała się do tego polecenia, gdyż troski zagłuszyły w niej względna potrzeba ciała. Do samego rana nie mogła biedaczka usnąć. Pochłaniał ją niewyraźny pomruk rozmowy dwuch braci, z której nie mogła usłyszeć ani słowa poprzez grubą ścianę, dzielącą gabinet męża od jej sypialni. Rejent Desmarets wkrótce odszedł. A wówczas dzięki ciszy nocnej i naprężeniu zmysłów Klementyna wyraźnie usłyszała skrzyp pióra i poruszenia. Ludzie spędzający noce bezsennie mogą łatwo

skonstantować dziwne kaprysy akustyki, które sprawiają, że wśród milczenia nocy chwyta się uchem najlżejsze skrzypienie lub szelest w tem samem miejscu, w którem w dzień nie słyszy się głośnej rozmowy. O czwartej wszystko ucichło. Klementyna podniosła się z łóżka, niespokojna, drżąca. Potem, boso, bez peniuaru, nie myśląc ani o swem znużeniu, ani o stanie, w którym się znajdowała, nieszczęsna kobieta otworzyła pocichu drzwi i weszła do gabinetu męża. Ujrzała go uśpionym w fotelu, z piórem w ręku. W lichtarzach płonęły świecie. Zbliżyła się powoli i przeczytała na zapieczętowanej już kopercie: „Mój własnoręczny testament".

Uklękła, jak przed grobem, i ucałowała rękę męża, który się obudził.

— Juljuszu, kochanie moje! Przecież nawet na śmierć, rzekła, obejmując go wzrokiem, pełnym miłości i gorączki,—daje się kilka dni ulgi. Błagam cię, zostaw mi dwa dni wolności... Czekaj. Potem umrę szczęśliwa, pewna, że będziesz mnie choć żałował.

— Zgadzam się, Klementyno.

A gdy ona w gwałtownym wybuchu czułości poczęła całować jego ręce, Juljusz, rozczulony jej pokorą, podniósł ją i ucałował w czoło, zawstydzony w głębi duszy, że podlega jeszcze czarowi tej szlachetnej piękności.

Nazajutrz, przespawszy się nieco, udał się Juljusz do pokoju żony, posłuszny nawyknieniu, które kazało mu przed wyjściem zobaczyć się z małżonką. Klementyna spała. Promień światła, przenikający przez szpary okiennic, padał na jej znużoną twarz. Ból wyżłobił już pierwszą maleńką zmarszczkę na czole, odebrał świeżą karminową barwę ustom. Oko kochanka wyczytało odrazu prawdę zarówno w chorobliwej bladości, jak i w wypadkach, które zastąpiły dawną matową bladość i rumieńce.

— Musi cierpieć okrutnie, — pomyślał Juljusz.—Biedactwo. Niechaj Bóg czuwa nad nią!

Musnął wargami jej czoło. Zbudziła się, ujrzała męża i zrozumiała prawdę; lecz, nie mogąc ze wzruszenia mówić, ujęła go za rękę, którą zrosiła łzami.

— Jestem niewinna,—rzekła, jak przez sen.

— Nie wyjdziesz dziś?—spytał Juljusz.

— Nie, jestem zbyt słaba; nie będę mogła wstać z łóżka.

— Gdybyś jednak chciał wyjść, poczekaj aż wrócę.

I poszedł do odźwiernego.

— Fauguereau, proszę pilnować bramy. Chcę koniecznie wiedzieć kto wejdzie i kto wyjdzie z domu.

Następnie Juljusz wsiadł do powozu, kazał się zawieźć do pałacu Manlincourów i spytał o barona.

— Pan baron jest chory—powiedziano mu.

Ale Juljusz nalegał, dał swój bilet wizytowy, chcąc, wobec niemożności zabaczenia barona, pomówić z baronową lub komandorem. Przez parę minut czekał w salonie baronowej, która wyszła do niego i zawiadomiła go, że wnuk jej jest zbyt słaby, aby się z nim widzieć.

— Pani baronowo, — odparł Juljusz, — o rodzaju choroby jego dowiedziałem się z listu, który pani raczyła do mnie napisać i upewniam panią, że...

— List odemnie! Do pana!—krzyknęła, przerywając mu baronowa.—Ależ nie pisałam do pana żadnego listu. I cóż tam jest w tym liście.

— Pani,—odparł Juljusz,—mając zamiar być u barona dzisiaj i zwrócić mu ten list, zachowałem go, choć w dopisku proszony jestem o zniszczenie go. Oto on.

Baronowa zadzwoniła na sługę, której kazała przynieść sobie okulary. Potem rzuciwszy okiem na papier, wyraziła najwyższe zdumienie.

— Pismo moje,—rzekła jest tak znakomicie podrobione, że mogłabym się sama pomylić. Wprawdzie wnuk mój jest chory, ale na ciele nie na umyśle. Jacyś niegodziwi ludzie zadrwili sobie z nas. Nie rozumiem, doprawdy, w jakim celu... Ale zaraz zobaczy pan mego wnuka i przekona się pan, że jest on przy zdrowych zmysłach.

Zadzwoniła po raz drugi i kazała spytać barona, czy może przyjąć pana Desmarets. Służący wrócił z odpowiedzią twierdzącą. Juljusz udał się do Augusta de Maulincour, którego zastał siedzącym w fotelu przy kominku i który, czując się zbyt słabym, by powstać, przywitał go gestem, pełnym melancholji. Obok barona siedział komandor de Paniers.

— Panie baronie, — rzekł Juljusz, — mam panu do powiedzenia coś poufnego, chciałbym więc pomówić z panem bez świadków.

— Szanowny panie, — odparł August, — pan komandor zna całą sprawę i może pan mówić przy nim o wszystkiem.

— Panie baronie, — ciągnął Juljusz dalej głosem poważnym, — zmącił pan, a nawet zniszczył moje szczęście. Więc do chwili, gdy przekonawszy się kto komu winien dać zadośćuczynienie, jest pan obowiązany pomagać mi do wykrycia prawdy i do zorjentowania się na ciemnej drodze, którą mi pan ukazał. Zapytuję pana tedy, gdzie mieszka obecnie ta tajemnicza istota, która wywiera na nasze losy tak tajemniczy i szkodliwy wpływ i która, zda się, ma na swe usługi potęgi nadnaturalne. Wczoraj, gdym wrócił do domu po rozmowie z panem, otrzymałem ten oto list.

I Juljusz pokazał Augustowi sfałszowany list.

— Ten Ferragus, ten Bourignard, czy de Funcal jest wcieleniem szatana! — krzyknął Maulincour, przeczytawszy list. — Sam nie zdawałem sobie sprawy z tego, żem wszedł do labiryntu, z którego niema wyjścia. Tak, niewątpliwie zbłądziłem, — zwrócił się do Juljusza, ale śmierć jest najsurowszą karą za wszelkie winy, a moja śmierć zbliża się. Niech więc pan pyta; jestem do pańskich usług.

— Panie, zapewne wie pan, gdzie mieszka ten tajemniczy człowiek. Chcę koniecznie, choćby miało mnie to kosztować cały mój majątek, zbadać tę tajemnicę. A wobec nieprzyjaciela tak przebiegłego, każda chwila jest droga.

— Justyn powie panu wszystko, co wie, — odparł baron.

Na te słowa komandor niespokojnie poruszył się na krześle.

August zazdwonił.

— Justyna niema w pałacu, — krzyknął komandor z nader wymownym pośpiechem.

— W takim razie, — rzekł niecierpliwie August, — służba powinna wiedzieć, gdzie się znajduje. Niech ktoś siądzie na konia i odszuka go.

Komandor zmięszał się.

— Niestety, Justyn nie przyjdzie, — rzekł starzec. — Nie żyje. Chciałem ukryć przed tobą ten wypadek, ale...

— Nie żyje?.. Umarł?.. — krzyknął Maulincour. Kiedy? W jaki sposób?

— Wczoraj w nocy. Wyprawiał bibę ze starymi przyjaciółmi i zapewne upił się; przyjaciele jego również pijani, porzucili go na ulicy i ciężki wóz przejechał go na śmierć.

— To sprawka tego galernika. Udało mu się załatwić z Justynem odrazu, — rzekł August. — Ze mną nie udało mu się tak łatwo. Musiał zabierać się do rzeczy czterokrotnie.

Juljusz spochmurniał i zamyślił się.

— A więc, nie dowiem się niczego, — krzyknął po długiej chwili milczenia. — Pański służący został może słusznie ukarany! Czyż nie przekroczył pańskich rozkazów, oczerniając moją żonę wobec jakiejś tam Idy, w której rozpętał zazdrość i podszczuł przeciw nam.

— Daruje pan, ale to ja, zaślepiony gniewem, upoważniłem go do tego.

— Panie! — krzyknął mąż.

— Ach, teraz, kochany panie, — odparł oficer, nakazując mu milczenie ruchem ręki, — jestem zdecydowany na wszystko. Nie zrobi mi pan nic gorszego nad to, co już mi zrobiono i nie powie mi pan nic ponad to, co powiedziało mi już moje własne sumienie. Dziś jeszcze spodziewam się odwiedzin znakomitego profesora toksykologji, który powie mi, co mnie czeka. I jeśli skazany jestem na zbyt wielkie cierpienia, postanowiłem niezłomnie strzelić sobie w łeb.

— Mówisz jak dziecko, — krzyknął komandor, śmiertelnie przerażony zimną krwią, z jaką baron wypowiedział te słowa. — Zapominasz, że twoja babka nie przeżyłaby tego.

— A więc, panie baronie, — rzekł Juljusz, — niema absolutnie sposobu dowiedzenia się, gdzie, w jakiej dzielnicy mieszka ten przeklęty człowiek.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, — odparł za Augusta komandor, — Justyn mówił, że pan de Funcal mieszka w gmachu ambasady portugalskiej. Pan de Funcal jest bowiem magnatem w obu tych krajach. Co się zaś tyczy galernika, to zmarł on i został pochowany. Prześladowca pański wydaje mi się dość potężnym, aby zostawił go pan w spokoju do chwili, gdy będzie pan miał możność zdemaskowania i zmiażdżenia go. Ale radzę panu działać ostrożnie. Gdyby baron słuchał moich rad, uniknąłby tego co się stało.

Juljusz pożegnał się zimno, lecz grzecznie i wyszedł, namyślając się, w jaki sposób przeniknąć do tego przeklętego Ferragusa. Gdy wchodził do siebie, odźwierny zakomunikował mu, że pani Juljuszowa wychodziła, aby wrzucić list do skrzynki pocztowej, znajdującej się po drugiej stronie ulicy Ménars. Ta ścisłość, z jaką odźwierny wykonywał jego polecenie i śledził swą panią, głęboko upokorzyła Juljusza. Wiedział z góry, jak zręcznymi są ludzie niższej kondycji, gdy chodzi o skompromitowanie swych państwa, pojmował, jak niebezpieczną rzeczą jest czynić takich ludzi swymi wspólnikami Ale czyż mógł myśleć o swej godności osobistej w chwili, gdy rozpętała się nad nim podobna nawałnica. Jednak raził go ten niecny tryumf niewolnika, który, nie mogąc wznieść się na jeden poziom z swym panem, jest szczęśliwy, gdy pan stacza się do jego poziomu. Więc był szorstki i gwałtowny z swym odźwiernym. Był to nowy błąd taktyczny z jego strony. Ale zanadto cierpiał, aby zdawać sobie z tego sprawę. Wiedział tylko, że czyny jego, do tej chwili tak czyste i uczciwe, stawały się obecnie krętemi, że musi teraz kłamać i oszukiwać. Bo wszak i Klementyna kłamała. Poczuł głęboki niesmak. Stał nieruchomo przed drzwiami swego pałacu, pogrążony w odmęcie gorzkich myśli. Chwilami, poddając się nastrojowi bezgranicznej rozpaczy, myślał o ucieczce, o opuszczeniu Francji, aby unieść z sobą nierozwiane jeszcze złudzenie i niepewność. To znów, pewien, że wrzucony przez Klementynę do skrzynki list wysłany był do Ferragusa, namyślał się, w jaki sposób przejąć odpowiedź, którą nadeśle ten tajemniczy człowiek. To znów, przypominając sobie niezwykłe koleje swego losu, od chwili ożenku, zapytywał siebie, czy rzekome oszczerstwo, za które tak krwawo pomścił się, nie było czasem prawdą. Ostatecznie, powracając myślą do odpowiedzi Ferragusa, powiedział sobie:

— Ale czy ten człowiek, tak piekielnie zręczny, tak logiczny w każdym czynie, ten człowiek, który zda się, wyczuwa oblicza i odgaduje nasze myśli, będzie tak niezręczny, że odpowie? Czy nie użyje jakichś niezwykłych środków, aby zmylić moją czujność? Czy nie prześle odpowiedzi przez jakiegoś zręcznego łotra, lub w pudełku, które przyniesie najuczciwszy w świecie człowiek, nie wiedząc co przynosi; lub w podeszwie do kamaszy, które Bogu ducha winna dziewczyna przyniesie mojej żonie? O ile jest w zmowie z Klementyną...

Obawiał się teraz wszystkiego i przebiegał myślą nieskończenie pole, bezbrzeżny ocean przypuszczeń. Wreszcie, zmieniając po raz setny postanowienie, doszedł do wniosku, że najłatwiej będzie mu działać w swoim domu, i postanowił śledzić ztamtąd każdego, kto zgłosi się do pałacu.

— Fouguereau, — rzekł do odźwiernego, jeśli ktoś spyta się o mnie, powiesz, że mnie niema w domu. O ile ktoś chciałby widzieć się z panią lub przyniósł dla niej coś, naci-

szniesz dwukrotnie dzwonek i przyniesiesz mi na górę wszystkie listy, które nadejdą, nie patrząc do kogo są adresowane.

— W ten sposób,—pomyślał, wchodząc do gabinetu, — który znajdował się na parterze — może uda mi się przeniknąć sztuczki tego przeklętego Ferragusa. Jeśli przyśle jakiegoś łotrapowiernika, dość chytrego, aby zapytać o mnie, żeby dowiedzieć się, czy Klementyna jest sama w domu,—wpadnie w potrzask. Nie zadrwi ze mnie, jak z durnia!

Przylgnął do szyby okiennej, która z gabinetu wychodziła na ulicę. Zazdrość natchnęła go do jednego jeszcze wybiegu: postanowił umieścić w karecie jednego z swych pomocników, aby szpiegujący go ewentualnie ludzie myśleli, że pojechał na giełdę. Pomocnikowi temu dał list do swego przyjaciela, maklera giełdowego, którego poprosił o załatwienie pewnych, pilniejszych zleceń. Ważniejsze zaś operacje giełdowe, w które nie chciał wtajemniczać nikogo, odłożył do następnego dnia, drwiąc z hause'y i baisse'y i wszystkich długów europejskich. Jest to najpiękniejszym przywilejem miłości, że miażdży ona wszystko, że wszystko blednie wobec niej: ołtarze, tron, renty, wszystko. O wpół do czwartej, to znaczy w chwili, gdy giełda zalana jest potokiem zakupów, sprzedaży, walorów państwowych, akcji przemysłowych, zamówień na *ultimo*, za gotówkę, i t. d., we drzwiach gabinetu ukazał się promieniejący Fougereau.

— Proszę pana, przed chwilą była tu jakaś stara baba, ale numerek co się zowie. Spytała się o pana i udała, że to jej nie na rękę, że pana niema. A potem dała mi list do pani.

Z gorączkowym niepokojem otworzył Juljusz list, lecz po chwili opadł na fotel, rozczarowany, zrozpaczony. List był jednym wielkim nonsensem; najwidoczniej, aby go odczytać, należało posiadać odpowiedni klucz.

— Możesz odejść, Fouguereau.

Odźwierny wyszedł.

— Tajemnica jest głębsza, niż może w miejscu, gdzie sonda nie znajduje dna. Ach, tylko miłość, jedynie miłość jest tak przezorna i zbroi się w takie podstępy, jak ten przeklęty korespondent. Mój Boże! Zabiję Klementynę.

W tej chwili w głowie jego błysnęła szczęśliwa myśl, z taką mocą, że oświetliła go nie mal fizycznie. Za czasów swej pracowitej nędzy, przed okresem małżeńskim, Juljusz posiadł szczerego, niezłomnego przyjaciela. Najwyższa delikatność, dzięki której udało się Juljuszowi, nie drażniąc miłości własnej biednego i skromnego przyjaciela, zabezpieczyć mu udział w swem bogactwie, nie każąc mu rumienić się, wzmogła jeszcze ich przyjaźń. Jacquet pozostał przyjacielem Desmaretsa, pomimo karjery, którą zrobił ten ostatni.

Jacquet, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, pracowity i cnotliwy, powoli wspinał się po stopniach karjery urzędniczej w ministerjum, które wymaga jednocześnie najwięcej łotrostwa i uczciwości. Piastował on mianowicie w ministerjum spraw zagranicznych urząd archiwisty w dziale korespondencji tajnej. Niczem robaczek świętojański, rzucał Jacquet światło na tajną korespondencję, odcyfrowując i klasyfikując depesze. W ten sposób zajmował on najwyższe stanowisko wśród urzędników ministerjum, lecz mimo to żył skromnie, w ukryciu, szczęśliwy z swego ukrycia, które zabezpieczało go przed kaprysami pani fortuny, zadowolony, że w tych skromnych obolach spłaca swój dług względem ojczyzny. W swoim czasie był on pisarzem w merostwie, gdzie cieszył się ogólnem poważaniem. Dzięki Juljuszowi zawarł szczęśliwy związek małżeński, który zapewnił mu popłatniejsze stanowisko.

(d. c. n)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.